

# Wolność



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

## Wolność

Niewysłowiona nim oładnęła radość.

Powód?

Równie nieznaną, jak w gruncie rzeczy nieznaną jest wszystko.

Przecież to takie proste. Budzisz się pewnego ranka... i wyciągasz ręce do świata, by go objąć, by go ucałować.

Zazwyczaj w sekundę potem dostajesz prztyczka w nos.

Na przykład... Zresztą i na cóż przykładów...

Ale są takie dni, kiedy prztyczków owych nie czujesz... po prostu rozśmieszają cię one tylko... ot całkiem jakby ich celem był nos twego np. krawca.

I cóż dziwnego, że się w dniu takim radujesz?

Pomieszana tu, jak widać, przyczyna ze skutkiem i nie wiadomo już... co było na początku.

Dość, że rozpierała go po prostu radość.

Chciał pocałować świat.

Zbudził się tego ranka w bajecznym kraju swobody.

Wszystko, co go otaczało, było piękne i nowe.

Pokój wielki, widny, świeżo malowany, wokoło ogrody...

*Ignoruję was!*

Tak napisał na lamusie pełnym wczorajszych trosk i o dziwo... troski one, wspomnienia, żale i niemiłe obrazki z dni minionych... przepadły.

Przyszła fala radości i zmyła wszystko do żywej skały. Nie zostało nic... prócz miejsca na rzeczy nowe.

To były jakieś, *sit venia verbo*<sup>1</sup>, miodowe sekundy, jakieś momenty małżeństwa tajemniczego z nową formą zewnętrzną, w jakiej się ukazał świat... ten stary, a tak wyśmienicie zawsze ucharakteryzowany komediant.

Szukał formy wypowiedzenia się i latał po pokoju. Nie biegał, nie! Latał. Dotykał jeno ziemi, ale tak sobie z grzeczności, niepotrzebnie... Właściwie latał... nie chciało mu się tylko tak znów całkiem dokładnie machać skrzydłami...

Oczywiście, Oczywiście! Przytakiwał zgłaszającej się do życia formie. Wybierał. Ale nie uznał żadnej.

Zdawało się, że wreszcie uwieńczy najstarszą z nich.

Kołysały nim rytmy, bajecznie te same, a cudne jakieś, nieznaną... i znów... oklepane... ach! jakże oklepane!...

Złapał się za głowę, omal że nie pocął śpiewać.

A wracały ciągle. Ile razy wyjrzał przez okno, ile razy zachwyił w oczy tego słonecznego, złotego blasku, którym tam na świecie przepojone było wszystko, tyle razy czuł, że na nowo rozpoczynają nim kołysać rytmy cudne jakieś, a znane dobrze, choć znowu pełne nowej, przedziwnej, niewypitej treści, choć tę samą czarą tyle razy miał przy wargach...

Stanął na chwilę. Potem, jakby się namyślił, usiadł przy stole i na ćwiartce listowego papieru poczał pisać:

*Moja jedyna!*

<sup>1</sup>*sit venia verbo* (łac.) — jeśli się tak wolno wyrazić; jeśli tak można powiedzieć. [przypis edytorski]

Ale tylko tyle był w stanie nakreślić. Powinien zaś być nierównie więcej i to od dawna już...

Cała ta ogromna radość miała być... tak się wydawało przez chwilę, powierzona tej ćwiartce papieru *tant bien, que mal*<sup>2</sup>... i iść kędyś, daleko, cieszyć drugą duszę.

Ale o ileż łatwiej byłoby list taki malować, niż pisać: pokój jasny, czysty, ściany pięknym kryte deseniem, a pod oknami czuby kwitnących czeremch. To przede wszystkim. Dalej zaś, po obu stronach niedawno dopiero wyciętej ulicy... ogrody, wielkie, zapuszczone od niepamiętnych widno<sup>3</sup> czasów, ogrody. Pozłoczone były kopyły widnych w dali kościołów, a także i kołki w rozwalonym do połowy płocie, co koślawo, niezdarnie biegł pomiędzy parcelami. Wypolerowane były wszystkie klamki u drzwi, wyczyszczone szyby domów, obmyte tramwaje skrzypliwie, dorożki rozklekotane, konie, psy, ludzie, a wszystko przysłaniała przecudna, nie do określenia przezroczyista mgła. Czuleś czystość samej nawet kałuży błota... krystaliczną dostojność brylantowej powierzchni z odbiciem cudów nieba i ziemi. Co tam... gdzieś, w głębi... o tym DZIŚ i mowy nie ma. Owo DZIŚ takie wydało rozporządzenie, takie hasło. Idzie dziad kościelny. Szara, czerwonym krzyżem znaczone opończa błyszczą na słońcu, podobnie jak i brudne koszulki dwojga dzieci, co czerpią skorupkami wodę rynsztoka, starając się napęlić nią stary, słomiany kapelusz. Szkoda, że nie widać karawanu. Jakiż byłby dzisiaj? Zapewne purpurowy, ognisty, słońcem na kolor radości malowany... A posuwałby się szybko raźnie, niefrasobliwie. Oto oddaje ziemi cząstkę WCZORAJ, po to, by się zjawić mogło DZIŚ...

I jakże to wszystko napisać?

Więc tylko chyba zaśpiewać czy zagrać na skrzypcach... A może najlepiej otworzyć jedno okno i powiedzieć:

*Patrz!*

Opisywać znaczy podawać powody, tłumaczyć, objaśniać, często też zaciemniać, by ukryć, ale zawsze powody... te powody...

No a jakże tu podać powody, czemu się weszło do drugiego pokoju, jasno oświetconego słońcem...

*Stało się.*

Począł szybko pisać:

„Moja jedyna... Nie wiem, co się stało, ale choć ciebie tu nie ma, choć losy nasze nie najjaśniejsze, rad jestem z czegoś strasznie”...

Nagle zrozumiał, że jest to niemożliwe.

O, jakże się trudno porozumieć ludziom. Za każdym słowem, tylekroć sprofanowanym, utarzanym w błocie podejrzeń... uzasadnionych... tyle się mieści stworów skrytych, pokracznych, pełnych drwin.

Oto ona pomyśleć może:

„Spotkał pewnie dawno niewidzianą kochankę”.

Albo:

„Nie jestem mu widać niczym, kiedy wiedząc, jak jestem smutna, jak samotna...”

Albo, w najlepszym razie, nie rozumie wcale.

I słusznie, bo skądże by...

Rzucił pióro i podszedł do okna.

Powiódł okiem z wysoka po świecie w krąg i pomyślał:

Wszystko to jest królestwo moje.

Uczuł się władnym mocarzem, który by<sup>4</sup> orzeł siedzi na wysokiej turni, w zamczysku i mruży oczy, bo wie, że oto dziś nikt nie ruszy jego włości.

Nadchodziły z wolna różne myśli, ale jednej nade wszystko rad był.

*To jest Wolność!*

Tak mu się przedstawiła wolność, a dusza radosna uciekła z ciała, siadła by<sup>5</sup> ptak na kwitnącej czeremsze i dziwiła się osłupiałemu: „Cóż to za gamoń tam stoi w oknie z otwartą gębą”.

<sup>2</sup>*tant bien, que mal* (fr.) — mniej więcej; jakoś; tak czy siak. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*widno* — tu: widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*by* — tu: niby; tak jak. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*by* — tu: niby; tak jak. [przypis edytorski]

*Nieprawdopodobnie dobrze!*

I dlatego... dlatego ani listu, ani...

W odległej, ledwo co wyznaczonej ulicy przechodnie nie bywali częstym zjawiskiem; toteż stojąc w oknie, zauważył zaraz człowieka wlokącego się kędyś widocznie bez celu. Modny płaszcz wisiał luźno na wyschlým jego ciele, pomięty kapelusz chwiał się na głowie, tak nisko na piersi opuszczonej, że twarzy wcale widać nie było.

Szedł człowiek ów, a patrzącemu wydało się, że suną za nim wielkim korowodem zjawy rozliczne.

Skradały się popod<sup>6</sup> parkany chytre pomysły niskich wybiegów, posuwiste a przygięte do ziemi, jakby zawsze gotowe do skoku szły ambicje, środkiem zaś ulicy, zataczając się z lekka, toczyły się kragłe, tuczne jak wieprze, uciechy towarzyskie i inne. Wyprzedzał jednak wszystkich, sparty<sup>7</sup> na krzywym parasolu poważny, stary, w połamany cylinder przybrany orangutan z wielką, ciężką księgą pod pachą.

A z dziur w chodniku, z otworów suteryn wypelżyły różne inne gady i węże i z sykiem roiły się pod nogami idącego lub wiły spiralnymi skrętami<sup>8</sup> w powietrzu.

Od czasu do czasu smutny człowiek przystawał, jakby niepewny drogi i ruszał po chwili dalej na oślep, byle ująć napastowania potworów, obskakujących go, ledwo się zatrzymał.

Patrzący z okna poznał znajomego i głośno niemal zawołał:

*Tak wygląda szczęśliwiec!*

Tak wygląda, gdy nań nikt nie patrzy... w odległej ulicy. Nie zastanawiając się, co robi, wychylił się całym ciałem za okno, osłonił usta dłonią i już miał zawołać, gdy nagle przypomniał sobie swą turń-zamczysko, tę samotnię swoją, tę ciszę, to ogarnianie z wysoko królestwa... Ach, w cóż by się zmieniły i słoneczna radość, i pustka po zapomnianych grzechach wczorajszych...

*Skrył się.*

Ogarniony strachem, wspomniawszy, iż tamten może rozgląda się i szuka pomocy, że mógł go dojrzeć w chwili owego nierozsądnego wychylenia... przywarł z boku do ramy okiennej i czekał, modląc się, by bez skutku pozostał jego poprzedni, nierozważny uczynek.

Wszystko mieć musi jakiś skutek i wszystko jest skutkiem — myślał.

Dobrze, dobrze, byle nie to... byle nie to...

No i jakoś... jakoś minęło...

Znajomy poszedł dalej, zabierając swoją menażerię. Ostrożnie wychyliwszy głowę, obserwował to król zamczyska... No i jakoś minęło... Dziwny, dziwny dzień.

Uczucie wdzięczności nim owładnęło, uczucie, które zwykle pożąda się przejawić w czynie.

Jakiś piękny tedy... ale piękny czyn.

Do pracy, do pracy!

Tak. Trzeba się okazać godnym łaski otrzymanej niespodziewanie, uzyskanego nowego życia.

A praca ta, musi to być coś całkiem nowego, przepojona być winna uczuciem, z którego wzięła życie.

*Ewangelia radości.*

Musi to być. Tak. Nie inaczej.

I znowu zakoiły nim rytmy dawne, odwieczne, nowe, nieznanne, zgoła niepoznawalne.

Jednym ruchem skrzydeł wzbił się wysoko i z tych wyżyn spoglądając na opuszczone ciało, pytała dusza jego zdumiona: „Cóż to za gamoń tam stoi przy oknie z otwartą gębą?”

Od chwili już odzywało się coś na ulicy monotonna.

Nie słyszał naturalnie.

Było to, jakby skrzypiała taczka, nienasmarowany wózek czy coś podobnego.

Cały balast doświadczeń... myślał... precz... naturalnie.

Z wszystkiego samo jego uczucie wyzwolenia... tak...

A cóż tam znowu tak skrzypi?

<sup>6</sup>popod (daw.) — pod. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>sparty — dziś: wsparty. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>spiralnymi skrętami — dziś popr. N.Im: spiralnymi skrętami. [przypis edytorski]

Poskoczył do okna.

Ulicą pustą, otoczoną parkanami, spoza których wychylały się śnieżyste czuby rozkwitłych czeremch, szedł z trudem człek jakiś i ciągnął za sobą na konopnej szlei spory wózek.

Na wózku onym rzeczy było niemało, w miarę zbliżania się widać je było coraz wyraźniej.

Przeważały skorupy z potłuczonych, cudnych niegdyś amfor. Ale trucizny snadź mieściły w sobie, bo zielone na nich i sine widniały osady, z innych zaś dotąd mętna ściekała ciecz na bruk uliczny. Dalej czerniły się przekisłe, popękane garnki, w których królowa NĘDZA wczoraj jeszcze pewnie gotowała strawę codzienną. Z boku wychylały się na świat niepewnie trzewiki, podarte na drogach cnoty, poplamione błotem, po krętych ścieżynach życia uzbieranym mozolnie. Nad tym drobiazgiem, przygniatając go wprost swą ważką personą, trzęsła się wielka komoda, pełna fałszowanych dokumentów szlachetności, a obok niej widniała miednica ku myciu w czystości rąk służąca i jako żywo w tej służbie obrzydliwymi plamami okryta.

Ale wszystko to byłoby niczym, gdybym zapomniał o niewielkim, sterczącym nogami w górę stole. Przy nim... zresztą mniejsza o dokładność... dość, że był on przykrą, nader przykrą pamiątką dni minionych. Coś o uczcie się zaplątało w pamięci niechętniej wspomnieniom, o uczcie braterskiej, kartach, cykutowym winie, gościu spodziewanym, tym i owym... ot smutne, smutne rzeczy...

Wszystko, a nie wyliczyłem ni małej części onych rupieci, mieściło się na wózku, a przewiązane były troskliwie porządnym sznurem, z widocznym nawet staraniem o elegancję. Ten, kto to uczynił, w całej pełni zasługiwał na miano zdolnego i o dobro klientów dbałego fachowca.

Człek to był zresztą dziwny jakiś.

Teraz, gdy przystanął dla spoczynienia i ocierał pot z czoła rękawem, widać go było wyraźnie.

Rysy miał ostre, haczykowany nos, zarost czarny, kędzierzawy.

Uśmiechał się jowialnie, szeroko otwierając usta.

Na głowie jego widniała czerwona czapka, z przypiętą z przodu blachą. Słońce grało na niej barwami tęczy, jak na szybie katedry i z dala jaśniał wyraźnie napis:

*Posługacz publiczny.*

Czapka siedziała na głowie krzywo jakoś, a spod niej wyzierał mały, krzywy, kosmaty różek diabelski.

Ogon biesi dla większej wygody okręcony był około bioder i zastępował sznur, jakim się opasują zazwyczaj tragarze.

Postał chwilę, zapiął na piersiach rozwartą niebieską bluzę, a znalazłszy oczyma stojącego u okna w osłupieniu człowieka, zdjął uprzejmie czapkę z głowy, skłonił się i zawołał: — Całuję tyż pokornie rączki pana dobrodzieja. Zmarudziło się. Ale nimem się ta na policy o adrys dopytał... Straśna ciżba...

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-wolnosc>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.